

ANDERS
ROSLUND

BÖRGE
HELLSTRÖM

S E K U N D Y

ALBATROS

DO PÓŁNOCY ZOSTAŁA jeszcze godzina.

Mimo późnej wiosny było ciemniej, niż się spodziewał. Najczarniejsza wydawała się woda, jak powłoka, która stoi na przeszkodzie ku temu, co zdawało się pozbawione dna.

Nie lubił statków ani łodzi, a może po prostu nie rozumiał morza. Zawsze gdy wiało tak jak teraz, marzył. Świnoujście dość powoli znikało za linią horyzontu. Zazwyczaj stał wtedy z dłońmi zaciśniętymi na relingu i czekał, aż domy przestaną przypominać domy i zamienią się w zwykłe czworokąty, które znikną ostatecznie, gdy otaczająca go ciemność zgęstnieje jeszcze bardziej.

Miał dwadzieścia dziewięć lat i bał się.

Słyszał ludzi, którzy mijali go z tyłu. Oni też byli w drodze. Noc, kilka godzin snu i obudzą się w innym kraju.

Pochylił się i przymknął oczy. Czuł się tak, jakby każda kolejna podróż była gorsza od poprzedniej. Jego umysł zdawał sobie sprawę z ryzyka tak samo jak jego ciało. Drżące ręce, krople potu na czole i gorące policzki, choć marzył w silnych podmuchach wiatru. Jeszcze dwie doby. Za dwie doby znowu będzie stał w tym miejscu, ale wtedy będzie już wracał. I znowu zapomni o swojej przysiędze, że nigdy więcej tego nie zrobi.

Puścił poręcz i otworzył drzwi. Fala ciepła doprowadziła go do dużych schodów, po których nieznani mu ludzie szli do swoich kajut.

Nie chciał iść spać. Nie mógłby zasnąć, jeszcze nie teraz.

Bar nie był zbyt duży. Prom m/f *Wawel* nie należał do największych jednostek kursujących między północną Polską a

południową Szwecją. Byle jakie stoły i krzesła z czterema marnymi szczeblami udającymi oparcie na plecy nie zachęcały, żeby posiedzieć tu dłużej.

Nadal się pocił. Drżącymi palcami z trudem utrzymywał kanapkę i szklankę z piwem. Gapił się przed siebie i starał się nie okazywać strachu. Dwa łyki piwa, kawałek sera... nadal było mu niedobrze, ale miał nadzieję, że smak tego, co zje i wypije, pomoże pozbyć się mdłości. Najpierw duży, tłusty kawałek wieprzowiny. Musi coś zjeść, żeby żołądek ułożył mu się odpowiednio w brzuchu. Potem jeszcze to coś żółtego, ukrytego w brązowej gumowej masie. Połykał to dwieście razy, a oni dokładnie liczyli. Robił to tyle razy, że w końcu zadrapał sobie przełyk.

– Czy podać panu coś jeszcze?

Młoda kobieta za kontuarem popatrzyła na niego, ale pokręciła głową. Nie teraz, ani kęsa więcej.

Policzki przestały być już takie gorące. W lusterku wiszącym koło kasy ujrzał bladą twarz. Odsunął od siebie po blacie kontuaru talerzyk z nienapoczętą kanapką i pełną szklanką tak daleko, jak to było możliwe, i wskazał na niego palcem. Kelnerka domyśliła się, o co mu chodzi, i położyła wszystko na półce obok innych naczyń przeznaczonych do zmywania.

– Postawić ci piwo?

Jakiś facet w jego wieku, trochę pijany, ktoś, kto chce z kimś pogadać, żeby tylko nie czuć się samotnym. On nadal gapił się wprost przed siebie, oglądał blade odbicie w lustrze i nawet się nie odwrócił. Nie bardzo wiedział, kto go nagabuje i dlaczego; ktoś usiadł po prostu obok i udaje, że jest pijany, chce postawić piwo, więc może zna cel jego podróży. Położył dwadzieścia euro na srebrzystym talerzyku na paragony i wyszedł z tego przygnębiającego miejsca z pustymi stolikami i bezsensowną muzyką.

Miał ochotę krzyzczeć z pragnienia, szukał językiem więcej śliny, żeby w ustach nie było tak sucho. Nie miał odwagi się napić z obawy, że poczuje się jeszcze gorzej, że nie będzie w stanie powstrzymać w żołądku wszystkiego, co zjadł.

Musi opanować odruch wymiotny, bo inaczej... wiadomo, co się stanie. Będzie trupem.

SŁUCHAŁ ŚPIEWU PTAKÓW o zwykłej porze, gdy późnym popołudniem ciepłe powietrze napływające znanz Atlantyku ustępuje miejsca kolejnemu chłodnemu wieczorowi. To właśnie tę porę dnia lubił najbardziej. Zrobił już to, co miał do zrobienia, ale wcale nie czuł się zmęczony. Ma jeszcze kilka godzin, zanim pójdzie spać, zanim ułoży się w wąskim hotelowym łóżku i spróbuje zasnąć w pokoju, w którym nadal był samotny.

Erik Wilson wystawił twarz na ciepłe poddmuchy wiatru, przymknął na chwilę oczy, żeby nie oślepił go silny blask reflektorów zalewających całą okolicę zbyt jaskrawym światłem. Odchylił się i zaczął ostrożnie sikać na potężne słupy, przez które i tak już wysokie drucziane ogrodzenie wydawało się jeszcze wyższe. Z trudem zapanował nad dziwnym uczuciem, jakby ogrodzenie na niego upadało.

Z odległości około dwustu metrów dobiegły go głosy ludzi, którzy przechodzili wielkim wyasfaltowanym placem zalanymswiatłem reflektorów.

Sześciu ubranych na czarno mężczyzn przed chronionym obiektem i obok niego, z tyłu – siódmy.

Czarny samochód powoli jechał za nimi.

Wilson z zaciekawieniem obserwował każdy ich krok.

Transport obiektów chronionych. Transport na otwartej przestrzeni.

Nagle rozległ się zupełnie inny dźwięk. Tak, ktoś użył broni. Ktoś wymierzył i strzelił precyzyjnie w grupę idących ludzi.

Wilson stał nieruchomo i ujrzał, jak dwaj ubrani na czarno mężczyźni znajdujący się najbliżej chronionego obiektu rzucają się na niego i przewracają na ziemię. Czterech pozostałych odwraca się i spogląda w kierunku, z którego rozległ się strzał.

Zrobili to samo co Wilson, to znaczy starali się zidentyfikować broń, nasłuchując.

Kałasznikow.

Strzał oddano z pasażu między dwoma niskimi domami, czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów od tego miejsca.

Ptaki, śpiewające jeszcze przed chwilą, odleciały. Nawet ciepły wiatr, który niedługo zrobi się zimny, też gdzieś znikł.

Wilson stał w miejscu, obserwował przez ogrodzenie każdy ruch i wsłuchiwał się w ciszę. Ubrani na czarno mężczyźni odpowiedzieli ogniem, samochód znacznie przyspieszył i zatrzymał się obok chronionego obiektu, odgradzając go od linii strzału. Ktoś nadal strzelał z obu niskich domów. Po nie więcej niż dwóch sekundach chroniony obiekt znalazł się na tylnym siedzeniu pojazdu, który zaraz potem znikł w ciemnościach.

– Dobrze.

Głos z góry.

– Na dzisiaj wystarczy.

Głośniki były zamocowane tuż pod wielkimi reflektorami. Mężczyzna, który tego wieczoru udawał prezydenta, przeżył. Wilson przeciągnął się i zaczął nasłuchiwać... Tak, ptaki wróciły. Dziwne miejsce. Po raz trzeci przyjechał do FLETC, Federal Law Enforcement Training Center, na południu stanu Georgia. Była tu baza wojskowa należąca do państwa, centrum szkoleniowe dla amerykańskich jednostek policyjnych, takich jak DEA, ATF, US Marshals, Border Patrol i ta, która przed chwilą po raz kolejny uratowała naród przed nieszczęściem – Secret Service. Był pewien, że to oni; spojrzął na rozświetlony asfalt, tak, to ich samochód, ich ekipa, często trenują o tej porze dnia.

Wilson szedł wzdłuż ogrodzenia, gdzie przebiegała linia oddzielająca go od innej rzeczywistości. Oddychanie nie sprawiało mu trudności, tutejsza pogoda zawsze mu odpowiadała. Było tu jaśniej i o wiele cieplej niż w Sztokholmie, gdzie ciągle czeka się na lato, które i tak nigdy nie nadchodzi.

Hotel wyglądał jak wszystkie inne. Wilson przeszedł obok lobby, kierując się w stronę drogiej, nudnej restauracji. Zmienił jednak zamiar i poszedł do wind, wjechał na dwunaste piętro budynku, który na kilka dni, tygodni albo miesięcy stawał się wspólnym domem wszystkich uczestników kursu.

Pokój był duszny i zbyt gorący. Otworzył okno wychodzące na wielki plac treningowy i przez chwilę przyglądał się grze światła. Włączył telewizor i przerzucił kilka kanałów, ale wszystkie i tak nadawały ten sam program. Zostawił jeden z nich do czasu, aż położy się spać, bo tylko w taki sposób ten pokój może nabrać życia.

Był dziwnie niespokojny.

Niepokój wypełniał go stopniowo od żołądka aż do stóp. Wstał z łóżka, przeciągnął się, podszedł do biurka. Na jasnym blacie leżało pięć telefonów komórkowych ułożonych w odstępie kilku centymetrów od siebie. Pięć identycznych aparatów między lampką z jasnym abażurem a podkładką z ciemnej skóry.

Po kolei sięgał po każdy z nich, sprawdzając, czy są jakieś wiadomości albo nieodebrane rozmowy. Na cztery pierwsze nikt nie dzwonił, nikt nie wysłał mu SMS-a. Za to na piątym widać było aż osiem nieodebranych połączeń.

Wszystkie z tego samego numeru.

Tak to sobie wymyślił. Rozmowy łączone na ten telefon tylko z tamtego numeru. I rozmowy łączone z tego telefonu tylko na tamten numer.

Dwie niezarejestrowane karty, z każdej można się dodzwonić wyłącznie na drugą. To na wypadek gdyby ktoś kiedyś coś sprawdzał, gdyby ktoś wszedł w posiadanie ich telefonów. Żadnych nazwisk, jedynie dwie komórki, każda odbiera połączenia od jednego nieznanego abonenta i z każdej można się dodzwonić też tylko do jednego, nieznanego abonenta. Nie można ich namierzyć. Nigdzie.

Wilson spojrział na cztery aparaty leżące na stole. Wszystkie dobrane w ten sam sposób co ten, który trzyma w ręce. Z każdego dzwoni się do jednego nieznanego abonenta, do każdego może się dodzwonić wyłącznie jeden nieznaną abonent.

Osiem nieodebranych rozmów.

Trzymał w dłoni telefon należący do Pauli.

Zaczął liczyć, jak duża jest różnica czasowa. W Szwecji mi-
nęła już północ. Wybrał numer. Usłyszał głos Pauli:

– Musimy się spotkać. Na piątku. Dokładnie za godzinę.

Piątku. Vulcanusgatan 15 i Sankt Eriksplan 17.

– To niemożliwe.

– Musimy.

– To niemożliwe. Jestem za granicą.

Ciężki oddech. Tuż przy uchu. Kilka tysięcy kilometrów stąd.

– No to mamy cholerny problem, Erik. Za dwanaście godzin
będzie duża dostawa.

– Przerwij akcję.

– Za późno. Piętnastu polskich kurierów jest już w drodze.

Wilson usiadł na krawędzi łóżka, w tym samym miejscu co
poprzednio. Zwinął trochę narzutę.

Duża dostawa.

Pauli udało się wejść głęboko w strukturę gangu. Głębiej niż
komukolwiek innemu.

– W takim razie znikaj. Natychmiast.

– Wiesz, że tak się nie robi. Wiesz, że muszę to jeszcze cią-
gnąć. Albo kula w łeb.

– Powtarzam: wycofaj się. Nie dasz rady, bo nie będę mógł
cię ochraniać. Znikaj, do cholery.

Kiedy ktoś odkłada słuchawkę w trakcie rozmowy, zapada
nieprzyjemna cisza. Wilson nie lubił takiej elektronicznej pustki,
gdy ta druga osoba decyduje, kiedy połączenie ma się skończyć.

Znowu podszedł do okna i zaczął czegoś szukać wzrokiem
w silnym świetle, które sprawiało, że wielki plac treningowy się
kurczył, prawie tonął w bieli.

Głos Pauli brzmiał jak głos człowieka mówiącego z wysił-
kiem, pod wpływem strachu, przymuszonego do tego.

Wilson nadal trzymał telefon w ręce. Spojrzał na niego i sły-
szał ciszę, która się z niego wydobywała.

Nie był w stanie pomóc Pauli.

PONIEDZIAŁEK

ZATRZYMAŁ SAMOCHÓD na samym środku mostu Lidingöbron.

Słońce przebiło się po raz pierwszy przez ciemność kilka minut po trzeciej. Później coraz energiczniej rozpychało się na niebie, aż w końcu ciemność znikła. Pojawi się dopiero wieczorem. Ewert Grens wychylił się przez okno i spojrział w stronę wody. Zaczepnął trochę powietrza, które ciągle jeszcze było chłodne. Wschód słońca zwiastował nadejście poranka, ta cholerna noc zostawi go wreszcie w spokoju.

Patrzył ponad śpiącą wyspą w drugą stronę, przyglądając się domom stojącym w pięknym miejscu na klifie, z widokiem na płynące w pobliżu łodzie. Zaparkował samochód na pustym asfalcie, odłączył radio policyjne od ładowarki i przymocował mikrofon do klapy płaszcza. Zawsze kiedy odwiedzał Anni, zostawiał urządzenie w samochodzie, bo żadne wezwanie z centrali nie było wtedy ważniejsze od rozmowy z nią. Teraz nie miał już z kim porozmawiać, więc nikt i nic w niczym mu nie przeszkodzi.

Jedździł do domu opieki społecznej raz na tydzień przez dwadzieścia dziewięć lat. Po jej śmierci też nie przestał, chociaż w pokoju żony mieszkał już ktoś inny. Podszedł do okna, które kiedyś było jej oknem. Siedziała przy nim i obserwowała toczące się życie. On też tam siedział, obok niej, bo chciał zrozumieć, czego właściwie szuka za oknem.

Była jedyną osobą, której kiedykolwiek ufał.

Tak bardzo mu jej brakowało... Anni. Ta pieprzona pustka ciągle w nim tkwiła. Nocami, gdy nie mógł zasnąć, chodził niepokojnie, a ona wciąż go prześladowała, nie umiał się jej pozbyć. Krzyczał na nią, a ona po prostu tam była. Oddychał nią i nie miał pojęcia, jak i kiedy zniknie.

– Panie komisarzu...

Jej głos dotarł do niego ze szklanych drzwi, które przy ładnej pogodzie zostawiano otwarte. Wszystkie wózki podjeżdżały wtedy do stołu w altanie. Susann, dawna studentka medycyny, była już młodszym lekarzem – tak przynajmniej wynikało z treści identyfikatora przypiętego do białego fartucha. Kiedyś pojechała z nim i z Anni na wycieczkę statkiem i ostrzegała go, żeby nie robił sobie zbyt dużej nadziei.

– Dzień dobry.

– Znowu pan tu przyszedł.

– Tak.

Nie widział jej od dawna, chyba od śmierci Anni.

– Po co pan tu przychodzi?

Grens spojrzał na puste okno.

– O co pani chodzi?

– Po co pan to robi... wbrew sobie?

Pokój był zaciemniony; osoba, która w nim teraz mieszkała, właśnie spała.

– Nie rozumiem.

– Widziałam tu pana przez dwanaście wtorków z rzędu.

– Czy to zabronione?

– Ten sam dzień tygodnia, ta sama godzina. Jak wtedy.

Grens nie odpowiadał.

– Gdy jeszcze żyła.

Susann zeszła do niego po schodach.

– Wyrządza pan sobie krzywdę.

Mówiła do niego podniesionym głosem.

– Trwanie w żałobie to jedna rzecz. Ale nie może pan podchodzić do tego schematycznie. Pan nie żyje z żałobą. Pan żyje dla niej. Trzyma ją, ukrywa się za nią. Czy pan tego nie rozumie? To, czego pan się tak obawiał, już się stało.

Grens wpatrzył się w ciemne okno i zobaczył siebie. Promienie słońca odbijały w szybie postać starszego mężczyzny, który nie wie, co powiedzieć.

– Powinien pan odpuścić. Trzeba żyć dalej, poza takim schematem.

– Tak bardzo mi jej brakuje.

Susann zeszła ze schodów i położyła dłoń na klamce drzwi do altany. Chciała je zamknąć, ale tylko przymknęła.

– Nie chcę tu pana więcej widzieć.

MIESZKANIE PRZY VÄSTMANNAGATAN 79 było naprawdę ładne. Trzy duże, jasne pokoje w starym budownictwie, wysoki sufit, wycyklinowana podłoga, okna wychodzące na Vanadisvägen.

Piet Hoffmann stał w kuchni. Otworzył lodówkę, żeby wziąć kolejną butelkę mleka.

Spojrzał na mężczyznę leżącego na podłodze z twarzą pochyloną nad czerwonym plastikowym wiadrem. Gówniarz z Warszawy, zwykły złodziejasek uzależniony od prochów, przyszczaty, popsute zęby, w zbyt dużym ubraniu. Kopnął go czubkiem buta w bok, śmierdziel upadł na podłogę i zwymiotował. Mleko i małe brązowe kawałeczki gumowej masy wyleciały mu na spodnie i czystą marmurową podłogę kuchni.

Musi się napić więcej. Napij się, kurwa, przecież musisz jeszcze coś wyrzygać!

Kopnął go znowu, ale już nie tak mocno. Brązowa gumowa masa otaczała każdą kapsułkę, żeby ochronić żołądek przed dziesięcioma gramami amfetaminy. Nie może sobie pozwolić, żeby choć jeden gram się zmarnował. Śmierdziuch na podłodze to jeden z piętnastu kurierów, którzy przez ostatnią dobę przewozili po dwa tysiące gramów. Najpierw promem ze Świnoujścia, potem pociągiem z Ystad. Żaden z nich nie wiedział o czternastu pozostałych, którzy też przekraczali granicę, a teraz siedzą gdzieś w Sztokholmie i czekają, aż pozbędą się treści żołądka.

Najpierw spokojnie do niego mówił. Woli taką metodę. Ale teraz zaczął krzyczyć: „Pij, do cholery!”. Kiedy go kopał, krzy-

czał głośniej. Niech w końcu wypije ten pieprzony karton mleka i niech – „Pij, do cholery!” – wyrzyga tyle kapsułek, ile tylko zdoła. Kupiec musi je sprawdzić i wycenić.

Chłopak zaczął płakać.

Na spodniach i na koszuli miał pełno plam, a jego pryszczata twarz była tak biała jak podłoga, na której leżał.

Hoffmann przestał go w końcu kopać. Przeliczył ciemne kawałki pływające w mleku. Na razie więcej nie potrzebował. Włożył rękawiczki, wyłowił z mleka dwadzieścia prawie okrągłych kulek i opłukał je pod kranem. Potem usunął z nich brązową gumową masę, aż zostało mu dwadzieścia małych kapsułek. Ułożył je na porcelanowych talerzykach.

– Jest jeszcze trochę mleka i kilka kartonów z pizzą. Zostań tutaj. Pij, jedz i rzygaj. Poczekamy na resztę.

W dużym pokoju było ciepło i pachniało stęchlizną. Trzej mężczyźni siedzący przy długim stole z ciemnego dębu się pocili. Za dużo ubrań, za mało adrenaliny. Hoffmann otworzył drzwi balkonowe i stał w milczeniu.

Znał polski. Dwaj pozostali woleli, żeby rozmawiał z nimi w tym języku.

– Zostało mu jeszcze tysiąc osiemset gramów. Zajmijcie się nim. I zapłaćcie mu, jak będzie po wszystkim. Cztery procent.

Wszyscy byli do siebie podobni. Czterdzieści kilka lat, ogolone głowy, ciemne i drogie garnitury, które i tak wyglądały na tanie. Kiedy stał koło nich, widział na ich głowach dobowy rudawy zarost. Do tego nieobecne oczy pozbawione radości. Żaden z nich nie uśmiechał się zbyt często. Właściwie to nigdy nie widział, żeby się śmiali. Zrobili, co im kazał: poszli do kuchni, żeby pomóc leżącemu kurierowi opróżnić żołądek. To przecież jego dostawa, więc żaden z nich nie miał ochoty tłumaczyć się w Warszawie, dlaczego towar szlag trafił.

Hoffmann zwrócił się do trzeciego mężczyzny siedzącego przy stole i po raz pierwszy przemówił po szwedzku.

– Mamy już dwadzieścia kapsułek. Dwieście gramów. Wystarczy, żebyś zrobił wycenę.

Mężczyzna był wysoki i wysportowany, miał jasne włosy i był w jego wieku, to znaczy miał około trzydziestu pięciu lat.

W czarnych dżinsach, białym T-shircie, obwieszony srebrem: na palcach, nadgarstkach, na szyi. Za próbę zabójstwa został skazany na cztery lata odsiadki w zakładzie w Tidaholm, a za dwa ciężkie pobicia dostał dwadzieścia siedem miesięcy w Mariefred. Wszystko wygląda jak trzeba. A jednak... Hoffmanna ogarnęło nieokreślone uczucie, jakby kupujący udawał, jakby grał jakąś rolę i robił to w nieodpowiedni sposób.

Przyglądał mu się uważnie. Mężczyzna wyjął z kieszeni dżinsów brzytwę i naciął jedną z kapsułek wzdłuż brzegu. Pochylił się nad talerzem, żeby powąchać jej zawartość.

Znowu to uczucie. Nadal w nim tkwi.

A może kupiec jest po prostu podniecony? Albo zdenerwowany? Może chodzi mu o to, z czym Hoffmann w samym środku nocy dzwonił do Erika Wilsona, bo coś mu się nie zgadzało, choć nie potrafił określić tego przez telefon?

Zapachniało tulipanami.

Hoffmann siedział dwa krzesła od niego, ale wyraźnie czuł ten zapach.

Kupiec pociął na kawałeczki żółtobiałą masę i rozkruszył ją na proszek. Nabrał na ostrze brzytwy i wsypał do pustej szklanki. Naciągnął do strzykawki dwadzieścia milimetrów wody i wstrzyknął ją do proszku, który szybko się rozpuścił i zamienił w przezroczystą, zawiesistą ciecz. Mężczyzna skinął z zadowoleniem głową. Tak, to amfetamina. Jest tak silna, jak obiecał mu sprzedawca.

– Tidaholm. Cztery lata. Mam rację?

Wszystko robi jak na profesjonalistę przystało, ale nadal coś tu nie gra. Hoffmann pociągnął do siebie talerz z kapsułkami i czekał na odpowiedź.

– Od dziewięćdziesiątego siódmego do dwutysięcznego. Tak, dostałem cztery lata, ale odsiedziałem tylko trzy. Wyszedłem przed czasem.

Hoffmann przyglądał się twarzy kupca. Nieruchoma twarz, ani jednego mrugnienia oczu. Żadnych oznak zdenerwowania.

Po szwedzku mówił z lekkim akcentem, który mógł wskazywać, że pochodzi z któregoś z sąsiednich krajów, na przykład z Danii albo Norwegii. Mężczyzna podniósł się nagle

poirytowany, jego dłoń znalazła się zbyt blisko twarzy Hoffmanna. Wszystko niby nadal jest w porządku, ale i tak jest już za późno; trzeba go było sobie ustawić dużo wcześniej, przejechać mu dłonią przed twarzą już na początku. Nie ufasz mi, skurwielu?

– Przecież już widziałeś wyrok, no nie?

Teraz znowu udaje poirytowanego.

– Jeden raz. Na którym oddziale?

– Blok C. Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego.

– Blok C. Gdzie?

Za późno to zrobił.

– O co ci, kurwa, chodzi?

– Gdzie?

– Blok C. Oddziały w Tidaholm nie mają numerów.

Tamten uśmiechnął się. Hoffmann odwzajemnił uśmiech.

– Z kim siedziałeś?

– Za dużo sobie, kurwa, pozwalasz.

Kupiec mówił podniesionym tonem, chciał, żeby wyczuli jego poirytowanie, że niby czuje się znowu obrażony. Jednak Hoffmann usłyszał coś innego. Niepewność.

– Dobijamy targu czy kończymy? Rozumiem, że mnie tu zaprosiłeś, bo chciałeś mi coś sprzedać?

– Z kim siedziałeś?

– Skåne. Mio. Josef Libanon. Virtanen. Greven. Mam dalej wyliczać?

– Z kim jeszcze?

Mężczyzna nadal stał wyprostowany, ale teraz zrobił jeden krok w kierunku Hoffmanna.

– Kończmy te targi.

Podszedł bliżej, a kiedy uniósł dłoń na wysokość jego twarzy, na nadgarstku i palcach rozbłysło srebro.

– To ci musi wystarczyć, więcej nie powiem. Decyduj się, robimy ten interes czy nie?

– Josef Libanon został wydalony z kraju bez prawa powrotu i zniknął, gdy trzy i pół miesiąca temu wylądował w Bejrucie. Virtanen spędził ostatni rok w domu wariatów w Säter, po bro-

dzie cieknie mu ślina i cierpi na chroniczną psychozę. Mio leży pod ziemią...

Czterej mężczyźni w garniturach i kurier z ogoloną głową usłyszeli podniesione głosy i otworzyli drzwi do kuchni.

Hoffmann dał im znać ręką, żeby nie podchodzili bliżej.

– Mio leży w żwirowni koło Ålstäket na wyspie Värmdö. Ma w tylnej lewej części głowy dwie dziury od kulek.

Teraz już trzy osoby w pokoju mówiły obcym językiem. Hoffmann zauważył, że kupiec rozgląda się, jakby szukał drogi ucieczki.

– Libanon, Virtanen, Mio. No i Skåne... Facet zapił się tak bardzo, że już nie pamięta, gdzie siedział, w Tidaholm, Kumli czy może w Hall. A Greven... Klawisze odcięli go, gdy się powiesił na prześcieradle w areszcie w Härnösand. Pięć świetnych nazwisk. Niezłe je wybrałeś. Żaden z nich nie może potwierdzić, że z nimi siedziałeś.

Jeden z czterech mężczyzn, który miał na imię Mariusz, zrobił krok do przodu. W ręce trzymał czarny pistolet wyprodukowany w fabryce w Radomiu. Pistolet wyglądał na nowy. Przystał do głowy kupca, ale Hoffmann krzyknął na niego: „Uspokój się, kurwa!”. Musiał powtórzyć te słowa kilka razy. Kazał mu też odsunąć lufę od głowy kupca.

Mariusz położył kciuk na bezpieczniku, powoli go odciągnął, roześmiał się i opuścił pistolet. Hoffmann znowu przeszedł na szwedzki.

– Kim był Frank Stein?

Spojrzał na kupca. Spodziewał się, że jego oczy będą wyrażać poirytowanie, urazę, a nawet wściekłość. Tymczasem dostrzegł w nich napięcie i strach. Mężczyzna obwieszony srebrem próbował to ukryć.

– Przecież wiesz, że wiem.

– To dobrze. Kim był Frank Stein?

– Blok C. Tidaholm. Siódme nazwisko. Zadowolony?

Hoffmann sięgnął po telefon komórkowy leżący na stole.

– No to może z nim porozmawiasz? Przecież razem siedzieliście.

Trzymał telefon przed jego twarzą i wpatrywał mu się w oczy,

które wyrażały czujność. W końcu wybrał numer. Obaj mężczyźni obserwowali się wzajemnie. Hoffmann wysłał plik zdjęciowy i znowu wybrał numer.

Jerzy rozmawiał z Mariuszem podniesionym głosem. „Stań z drugiej strony, na prawo od kupca”. „Blżej głowy”. Niech pojdzie jeszcze bliżej, podniesie pistolet, niech mu przyłoży do prawej skroni.

– Nie gniewaj się na moich przyjaciół z Warszawy, są trochę nerwowi.

Ktoś odebrał. Hoffmann zamienił z nim kilka słów i pokazał kupcowi ekran komórki. Widać na nim było mężczyznę z długimi, ciemnymi włosami związanymi w kucyk. Jego twarz nie wyglądała już tak młodo jak kiedyś.

– Mówi Frank Stein.

Hoffmann dostrzegł niepokój kupca, który uciekał ze wzrokiem.

– I co, nadal twierdzisz, że się znacie? – spytał.

Wyłączył telefon i położył go na stole.

– Obaj moi przyjaciele nie mówią po szwedzku. To, co teraz powiem, jest przeznaczone wyłącznie dla ciebie.

Krótkie spojrzenie w stronę Mariusza i Jerzego, którzy podszli jeszcze bliżej i nadal dyskutowali, jak powinni się ustawić, żeby wycelować lufę w skroń kupca.

– Wygląda na to, że mamy problem, ty i ja. Nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Daję ci dwie minuty na wyjaśnienie, kim jesteś.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Tylko nie pierdol. Już na to za późno. Masz mi jedynie powiedzieć, kim jesteś. I zrób to teraz. Bo w przeciwieństwie do moich kumpli uważam, że trup oznacza kłopoty. No i jest niewypłacalny.

Czekają. Na to, co zrobi ten drugi. Że któryś odezwie się głośniejszy niż Mariusz, który, mówiąc swoim monotonnym głosem, przyłożył wylot lufy do twarzy kupca.

– Sporo się napracowałeś, żeby wymyślić sobie nową przeszłość. Teraz już wiesz, że cała twoja wersja nie trzyma się kupy. Nie doceniłeś tych, z którymi masz do czynienia. Ta organi-

zacja powstała wokół grupy oficerów z polskich służb wywiadowczych, więc mogę się dowiedzieć wszystkiego, czego chcę. Mogę spytać, gdzie chodziłeś do szkoły, a ty możesz mi opowiedzieć swoją wyuczoną formułkę, ale ja już po jednej rozmowie będę wiedział, czy to prawda. Mogę cię spytać, jak miała na imię twoja matka, czy twój pies był szczepiony i jakiego koloru jest twój nowy ekspres do kawy. Jedna rozmowa i wiem, czy mówisz prawdę. I właśnie to zrobiłem: zadzwoniłem. Niestety, Frank Stein cię nie rozpoznał. Nie siedzieliście razem w Tidaholm, bo ty w ogóle tam nie siedziałeś. Papier z wyrokiem to lipa, żebyś mógł tu z nami siedzieć i udawać, że kupujesz świeżutką amfę. Dlatego zapytam cię jeszcze raz. Wyjaśnij mi, kim jesteś. A wtedy może mi się uda... powtarzam: może... powstrzymać tych dwóch, żeby cię nie zabili.

Mariusz trzymał kurczowo rękojeść pistoletu. Słyszał, że pada coraz więcej słów, że robi się coraz głośniejsze. Wprawdzie nie rozumiał, o czym obaj rozmawiają, ale domyślał się, że za chwilę coś się wydarzy. Krzyknął po polsku: „O czym wy, kurwa, gadacie?!” i odbezpieczył broń.

– Okay.

Kupiec zrozumiał, że w Mariuszu narasta coraz większa agresja, że staje się bezradny i nieobliczalny.

– Jestem policjantem.

Mariusz i Jerzy nie znali szwedzkiego, ale słowa „policjant” nie trzeba im było tłumaczyć.

Znowu zaczęli na siebie krzyczeć, bardziej Jerzy, który wrzeszczał na Mariusza, że ma pociągnąć za spust. Hoffmann podniósł ręce i cofnął się o krok.

– Cofnijcie się!

– To gliniarz!

– Sam to załatwię!

– Nie teraz!

Hoffmann skoczył w ich stronę, ale i tak by nie zdążył. Kupiec wyczuł to, zaczął się trząść, odwrócił głowę.

– Jestem policjantem, zabierz go ode mnie, kurwa!

Jerzy ściszył trochę głos i kazał Mariuszowi podejść bliżej, z drugiej strony, bo chyba lepiej będzie strzelić w drugą stronę.